

Deana poznałem w niedługim czasie po rozstaniu z żoną. Wyszędłem właśnie z ciężkiej choroby, o której nie chce mi się nawet wspominać, poza tym, że w pewnym stopniu złożyły się na nią potwornie męczące rozejście się z żoną i moje poczucie, że wszystko skończone. Wraz z przyjazdem Deana Moriarty'ego zaczął się nowy rozdział mojego życia, który można by nazwać życiem w drodze. Od dawna już marzyłem o wyjeździe na Zachód, żeby zobaczyć kawałek Stanów, ale zawsze kończyło się na mglistych planach i podróż nigdy nie doszła do skutku. Dean jest facetem wprost stworzonym do wędrownego życia, bo właściwie urodził się w drodze, kiedy w 1926 roku jego rodzice jechali starym gruchotem przez Salt Lake City do Los Angeles. Pierwszy raz usłyszałem o Deanie od Chada Kinga, który pokazał mi kilka jego listów pisanych z poprawczaka w Nowym Meksyku. Listy ogromnie mnie zaintrygowały, bo Dean tak mile i naiwnie prosił w nich Chada, żeby opowiedział mu wszystko, co wie o Nietzschem i rozmaitych wspaniałościach intelektualnych, na których się zna. Pamiętam rozmowę z Carlem o tych listach – zastanawialiśmy się wtedy, czy kiedyś będziemy mieli okazję poznać tego dziwnego Deana Moriarty'ego. Ale to dawne czasy, kiedy Dean wcale nie był tym co dzisiaj, kiedy był jeszcze młodym kryminalistą otoczonym mgiełką tajemniczości. Potem doszły nas słuchy, że Dean wyszedł z poprawczaka i po raz pierwszy w życiu ma przyjechać do Nowego Jorku; mówiło się też, że właśnie się ożenił z dziewczyną imieniem Marylou.

Pewnego dnia, włócząc się po miasteczku uniwersyteckim, dowiedziałem się od Chada i Tima Graya, że Dean mieszka w jakiejś obskurnej norze we wschodniej części Harlemu – w Harlemie Hiszpańskim. Poprzedniego wieczoru przyjechał po raz pierwszy do Nowego Jorku ze swoją śliczną i bystrą Marylou; wysiedli z autobusu Greyhound przy Pięćdziesiątej Ulicy, skręcili za róg, rozglądając się, gdzie by można coś zjeść, i poszli prosto do Hectora; odtąd knajpka Hectora jest dla Deana wielkim symbolem Nowego Jorku. Zafundowali sobie wspaniałe lukrowane ciastka i ptysie z kremem.

Dean wciąż powtarzał Marylou:

– Kochanie, jesteśmy już w Nowym Jorku i chociaż nie powiedziałem ci właściwie wszystkiego, co mi chodziło po głowie, kiedy przejeżdżaliśmy przez Missouri, a zwłaszcza kiedy mijaliśmy poprawczak w Booneville, który przypominał mi pobyt za kratkami, musimy teraz bezwzględnie odłożyć na później wszelkie sprawy miłosne i natychmiast zacząć obmyślać dokładne i rzeczowe plany na przyszłość... – I tak dalej, jak to miał wówczas w zwyczaju.

Poszedłem z chłopakami do tej jego nory; Dean otworzył nam w samych spodenkach.

Marylou zeskoczyła z łóżka; Dean posłał gospodarza mieszkania do kuchni, przypuszczalnie po to, żeby zaparzył kawy, a sam zaczął się rozwodzić nad miłością, że dla niego seks jest jedyną świętą i istotną wartością, chociaż dobrze się trzeba napocić i nauwijać, żeby zarobić na życie. Pragnąc dać temu wyraz, stał i kiwał głową, ze wzrokiem wbitym w ziemię, potakując niczym młody bokser uwagom trenera, aby sprawić wrażenie, że wsłuchuje się w każde słowo, powtarzając bez przerwy swoje „Tak” i „Dobrze mówisz”. Na pierwszy rzut oka wydał mi się bardzo podobny do Gene’a Autry’ego za młodu – szczupły, wąskie biodra, błękitne oczy, baki i akcent prosto z Oklahomy – prawdziwy bohater ośnieżonego Zachodu.

Zresztą pracował rzeczywiście na ranczu, u Eda Walla w Kolorado, zanim ożenił się z Marylou i przyjechał na Wschód. Marylou była ładną blondynką o bujnych kędzierzawych włosach jak złote morze; siedziała ze zwieszonymi rękami na brzeжку kanapy, niebieskie, przydymione oczy miała szeroko otwarte, bo znalazła się w ponurej, wstrętnej melinie nowojorskiej, jednej z tych, o których słyszała jeszcze na Zachodzie, i zastygła tu w oczekiwaniu niby chuda, wydłużona, surrealistyczna kobieta Modiglianiego na tle surowego pokoju. Ale mimo że śliczna i miła, była przy tym głupia jak but i zdolna do najgorszych rzeczy. Owej nocy piliśmy piwo, siłowaliśmy się na rękę i gadaliśmy aż do świtu, a rano, kiedy siedzieliśmy w szarym świetle ponurego dnia, paląc w milczeniu pety z popielniczek, Dean zerwał się nerwowo, przemierzył w zamyśleniu pokój i oświadczył, że dobrze by było, gdyby Marylou zrobiła śniadanie i zamiotła podłogę.

– Innymi słowy, kochanie, musimy bardzo zważać na to, co mówię, bo wszystko się nam rozchwieje i nie poznamy do głębi prawdy ani nie skryształizujemy planów.

Po tych jego słowach wyszedłem.

Kilka dni później Dean wyznał Chadowi Kingowi, że musi koniecznie nauczyć się od niego pisać; Chad powiedział mu, że to ja jestem pisarzem i że po wszelkie rady powinien się zgłaszać do mnie. Tymczasem Dean dostał robotę na parkingu, pożarł się z Marylou w ich nowym mieszkaniu w Hoboken – diabli wiedzą, po co się tam przenieśli – co doprowadziło ją do takiej wściekłości, że chcąc się zemścić, wniosła na policję jakąś histeryczną, całkowicie wyssaną z palca skargę, i Dean musiał wiać z Hoboken. Został więc bez dachu nad głową.

Przyjechał prosto do Paterson w New Jersey, gdzie mieszkałem z ciotką, i któregoś wieczoru, kiedy ślęczałem nad książkami, rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili w mrocznym korytarzu ukazał się Dean, cały w ukłonach, niepewnie przestępując z nogi na nogę, i wyrzucił z siebie:

– Cześć, przypominasz mnie sobie? Jestem Dean Moriarty. Przyjechałem z prośbą, żebyś mnie nauczył, jak się pisze książki.

– A gdzie Marylou? – spytałem.

W odpowiedzi usłyszałem, że podobno zarobiła dupą kilka dolarów i wróciła do Denver – „ta dziwka!”. No więc skoczyliśmy do baru na piwo, bo nie moglibyśmy rozmawiać jak należy przy ciotce, która siedziała w bawialni z nosem w gazecie. Rzuciła tylko jedno spojrzenie na Deana i raz na zawsze uznała go za wariata.

W barze zacząłem go wypytywać:

– Słuchaj, stary, dobrze wiem, że nie zjawileś się u mnie tylko dlatego, że chciałyś zostać pisarzem, a zresztą i tak gównie się na tym znam, trzeba w tym siedzieć z zapalem nałogowca, i tyle.

A on na to:

– Jasne, wiem, co chcesz przez to powiedzieć, i zdaję sobie sprawę ze wszystkich trudności, ale konkretnie chodzi mi o uświadomienie sobie pewnych czynników, bo gdyby się polegało na dyktamencie Schopenhauera w wypadku każdego wewnętrznie uświadomionego... – I dalej w tym stylu, czego nie rozumiałem ani w ząb, podobnie zresztą jak on.

W owym czasie Dean sam właściwie nie wiedział, co mówi; był młodym

chłopakiem, który niedawno wyszedł z poprawczaka, i urzekła go cudowna perspektywa, że mógłby zostać prawdziwym intelektualistą, dlatego uwielbiał mówić takim tonem i używać mądrych słów, zasłyszanych u „prawdziwych intelektualistów”, choć w rzeczywistości plótł bzdury, ale trzeba wam wiedzieć, że poza tym nie był wcale naiwny i wystarczyło mu parę miesięcy z Carlem Marksem, żeby opanować całą tę gadkę wraz ze wszystkimi terminami. Niemniej jednak rozumieliśmy się na innych płaszczyznach szaleństwa, zgodziłem się więc, żeby u mnie został, dopóki nie znajdzie pracy, a w dodatku ustaliliśmy, że kiedyś wybierzemy się razem na Zachód. Było to w zimie 1947 roku.

Pewnego wieczoru, kiedy stukałem jak wariat na maszynie, Dean wstał od kolacji – pracował już wówczas na parkingu w Nowym Jorku – pochylił się nade mną i powiedział:

– Chodź już, stary, dziewczyny nie będą czekać, pośpiesz się.
– Poczekaj sekundę – odparłem – już idę, tylko skończę rozdział. – I to był jeden z najlepszych rozdziałów w całej książce.

Ubrałem się i ruszyliśmy do Nowego Jorku na spotkanie z dziewczynami. Jadąc autobusem przez fosforyzującą niezwykle światłem próżnię Tunelu Lincolna, nachyleni ku sobie, wymachiwaliśmy rękami, krzyczeliśmy i rozmawialiśmy z wielkim ożywieniem, aż poczułem, że dostaję takiego samego bzika jak Dean. Był po prostu młodym chłopakiem niesamowicie rozentuzjasmowanym życiem, blagierem, chociaż blagował tylko dlatego, że tak bardzo chciał żyć pełnią życia i poznawać ludzi, którzy inaczej nie zwróciliby na niego uwagi. Mnie też naciągał (na mieszkanie, jedzenie i „co zrobić, żeby pisać”), ale wiedziałem o tym i on wiedział, że ja wiem (co poniekąd stanowiło podstawę naszych stosunków), więc się nie przejmowałem i świetnie się dogadywaliśmy – bez żadnych awantur, ale i bez cackania się ze sobą; chodziliśmy wokół siebie na palcach jak dwaj świeżo upieczeni serdeczni przyjaciele. Uczyłem się od niego pewno nie mniej, niż on się uczył ode mnie. O mojej pracy mówił tak:

– Wszystko, co piszesz, jest genialne, tylko tak dalej.

Kiedy pisałem opowiadania, zaglądał mi przez ramię, wykrzykując:

– Jasne! Bomba! O rany, stary!

Albo:

– No, no! – I ocierał chustką twarz.

– Kurczę, stary, tyle rzeczy można zrobić, tyle napisać! Ale jak tu zacząć spisywać to wszystko bez zahamowań, bez obawy przed literackimi konwencjami i błędami gramatycznymi...

– Jasne, chłopie, teraz gadasz do rzeczy. – I widziałem coś w rodzaju świętej błyskawicy, którą rozpałał jego entuzjazm i wizje opisywane przez niego w takim zapamiętaniu, że pasażerowie autobusów odwracali głowy, chcąc zobaczyć tego „rozgorączkowanego pomyślnika”.

Na Zachodzie jedną trzecią czasu spędzał na bilardzie, jedną trzecią w więzieniu, a resztę w bibliotece publicznej. Widywano go, jak pędzi zimowymi ulicami na bilard, z gołą głową, z książkami pod pachą, albo jak wspina się na drzewa, żeby się dostać na poddasze do któregoś z kumpli, gdzie przesiadywał całymi dniami, czytając lub też kryjąc się przed policją.

Dotarliśmy do Nowego Jorku – nie bardzo już pamiętam, chodziło bodajże o dwie czarne dziewczyny, otóż nie było ich; miały się spotkać z Deanem w jakiejś knajpce, ale się nie pokazały. Udaliśmy się na jego parking, gdzie musiał zrobić parę rzeczy – przebrać się w komórce na zapleczu i doprowadzić do porządku przed popękanym lustrem – i dopiero wtedy ruszyliśmy na miasto. Tego wieczoru Dean poznał Carla Marksa. Zdarzyło się wówczas coś niesamowitego. Spotkały się dwa chłonne umysły – obaj z miejsca przypadli sobie do gustu.

Dwoje przenikliwych oczu wpatrzonych w drugą parę przenikliwych oczu – święty blagier, z promiennym umysłem, i pełen smutku, liryczny blagier, z mrocznym umysłem, czyli Carlo Marx. Od tamtej pory przestałem niemal widywać Deana i trochę mi było przykro. Zapał jednego zważył się z zapalem drugiego, byłem przy nich ciemniakiem, nie mogłem dotrzymać im kroku. Właśnie wtedy zaczął się cały ten opętający wir nadchodzących zdarzeń; miał wciągnąć wszystkich moich przyjaciół i pozostałych jeszcze przy życiu członków mojej rodziny w wielki tuman kurzu rozpostarty nad Nocą Ameryki. Carlo opowiedział mu o Starym Byku Lee, Elmerze Hasselu i Jane: Lee hoduje marychę w Teksasie, Hassel na Wyspie Riker, a Jane włóczy

się po Times Square w benzedrynowych halucynacjach, z malutką córeczką na rękę, i łąduje w szpitalu Bellevue. A Dean opowiedział Carlowi o nieznanych ludziach z Zachodu, takich jak Tommy Snark, szpotawy rekin sal bilardowych, namiętny karciarz i bożyszcze pedałów. Opowiedział mu też o Royu Johnsonie, Dużym Edzie Dunkelu, o swoich kumplach z dzieciństwa, o kolegach z ulicy, o niezliczonych dziewczynach, które miał, o orgietkach i zdjęciach pornograficznych, o swoich idolach, o przygodach. Ganiali razem po mieście jak opętani, zachwycając się wszystkim dokoła, jak to wówczas mieli w zwyczaju, co później wywoływało w nich znacznie więcej smutku, refleksji i pustki. Ale wtedy jeszcze tańczyli na ulicach, jakby mieli kuku na muniu, a ja kuśtykałem za nimi, tak jak przez całe życie kuśtykam za fascynującymi mnie ludźmi, bo dla mnie prawdziwymi ludźmi są szaleńcy ogarnięci szałem życia, szałem rozmowy, chęcią zbawienia, pragnący wszystkiego naraz, ci, co nigdy nie ziewają, nie plotą banałów, ale płoną, płoną, płoną, jak bajeczne race eksplodujące niczym pająki na tle gwiazd, aż nagle strzela niebieskie jądło i tłum krzyczy „Oooo!”. Jak nazywano takich młodych ludzi w Niemczech Goethego?

Pragnąc gorąco nauczyć się pisać tak jak Carlo, Dean zaczął go od samego początku atakować z żarliwością właściwą tylko takim blagierom jak on.

– Carlo, daj mi coś wreszcie powiedzieć. Bo ja uważam, że... – Znikli mi z oczu na jakieś dwa tygodnie i przez ten czas scementowali swoją przyjaźń gorączkowymi rozmowami, ciągnącymi się dzień i noc.

Nadeszła wiosna, pora wprost wymarzona do podróżowania, i wszyscy z naszej rozproszonej paczki szykowali się do jakiegoś wyjazdu. Pochłaniała mnie praca nad powieścią, a kiedy doszedłem do połowy, po powrocie z Południa od mojego brata Rocco, którego odwiedziłem razem z ciotką, po raz pierwszy w życiu byłem gotów ruszyć na Zachód.

Dean wyjechał wcześniej. Odprowadziliśmy go z Carlem na dworzec autobusowy przy Trzydziestej Czwartej Ulicy. Na piętrze znajdowała się kabina, w której za ćwierć dolara można było sobie zrobić zdjęcie. Carlo zdjął okulary i miał ponury wyraz twarzy. Dean ustawił się profilem, sfotografował się, po czym rozejrzał kokieteryjnie. Ja się sfotografowałem en face i wyszedłem jak trzydziestoletni Włoch, gotów zabić każdego,

kto powie złe słowo na jego matkę. Carlo i Dean rozcięli żyłką to zdjęcie równiutko na pół i każdy z nich schował swoją połówkę do portfela. Z okazji wielkiej podróży powrotnej do Denver Dean miał na sobie garnitur biznesmena z Zachodu; jego pierwszy wypad do Nowego Jorku dobiegł końca. Mówię wypad, ale właściwie harował tylko jak wół roboczy na parkingach. W obsłudze samochodów na parkingach nie ma sobie równych – potrafi cofnąć samochód z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w ciasny przesmyk, zatrzymać się tuż przy ścianie, wyskoczyć, wylawirować między błotnikami, wskoczyć do następnego wozu, wykręcić w wąziutkim miejscu z osiemdziesiątką na liczniku, cofnąć na skrawek wolnej przestrzeni, stop, szarpie ręczny, aż widać, jak dreszcz wstrząsa autem, a on już wypada i puszcza się mistrzowskim sprintem do kantoru, wydaje kwit, wskakuje do nowego wozu, zanim się z niego wygramoli właściciel, wślizgując się dosłownie pod nim, kiedy ten wysiada, zapala motor, strzelając jednocześnie drzwiczkami, i wyrывa w kierunku następnego wolnego miejsca, slalom, hamulec, zapłon, wysiadka, bieg; pracował tak dzień w dzień po osiem godzin bez przerwy, po południu w godzinach szczytu i podczas wieczornego natężenia ruchu, kiedy ludzie wychodzą z kin i teatrów, w lepkiem od brudu kombinezonie, postrzępionej kurtce na futrze i złachanych, klapiących butach. Na powrót natomiast kupił sobie nowy granatowy garnitur z tenisu, z kamizelką i wszystkim, co trzeba – jedenaście dolarów w magazynie przy Trzeciej Alei, z zegarkiem kieszonkowym na dewizce, oraz walizkową maszynę do pisania, na której miał zacząć pisać w domu noclegowym w Denver, jak tylko dostanie pracę.

Na obiad pożegnalny zjedliśmy parówki z fasolką u Rikera przy Siódmej Alei, Dean wsiadł do autobusu z tabliczką „Chicago” i odpłynął w ciemną noc. Tak odjechał nasz kowboj. Obiecałem sobie, że ruszę w tę samą trasę, jak tylko wiosna rozkwitnie w całej pełni i drogi staną otworem.